

Kronika

tygodniowa

Przysłowia są filozofią narodów. Tak nas uczono swojego czasu w szkole, a każdy dzień przynosi nam nowe dowody, że bynajmniej nie mylili się ci, którzy w nas to wpajali.

Nigdy chyba nie miało właściwszego zastosowania stare przysłowie: „Poznać pana po cholewach“, jak w obecnych stosunkach. Dzisiaj tylko ci, którzy chodzą w butach z cholewami, nie noszą krawatek, a nos obcierają palcem, nie chustką, są prawdziwymi panami, „trzewiczkowi“ zaś schodzą powoli na psy i nikt się z nimi nie liczy. Nawet gdyby który z nich chciał udawać pana i paradować w butach z cholewami, co zwłaszcza teraz, przed wyborami, mogłoby wpłynąć bardzo dodatnio na wyrobienie mu zaufania pośród wyborców, nie może sobie pozwolić na to, gdyż buty z cholewami to obecnie majątek.

Także przysłowie: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść“ sprawdza się obecnie w całej pełni. Nie mamy tu na myśli kuchni obywatelskich dla głodnej inteligencji, gdzie się wydaje obiady po dziesięć marek od osoby, a gdzie zajętych jest więcej, niż sześć kucharek, aby się im nie przykusiło. Obiady te są wprawdzie skromne i objeść się nimi nie można, ratują przecież inteligentów od głodowej śmierci. W drastyczniejszych jednak kolorach maluje się to przysłowie odnośnie do naszych stosunków politycznych. W Warszawie jest tyle kucharek politycznych, ile stronnictw, a każda chciałaby gotować na swój sposób, czego następstwem jest chaos, rozgardiasz i w samej rzeczy brak jedzenia, tak w ścisłym tego słowa znaczeniu, jak i w przenośni. Gotuje się ciągle potrawę, która się nazywa „większością rządzącą“, ale w żaden sposób jej dogotować nie można.

W kronikarskim życiu wchodzi w grę przysłowie: „Nie krzyż hop, dopóki nie przeskoczysz“, z tą je dynie zmiłą, że zamiast drugiej jego połowy należałoby powiedzieć: „dopóki się nie skończą wakacje, a z nimi czas wyjazdu na wywczasowy letnik“.

Sądzi kronikarz, że Weronika wyrzekła się już zamiaru opuszczania Krakowa, celem poratowania zdrowia wdychaniami świeżego powietrza, przekonuje się przecież, że się pomylił, a radość, która z tego powodu ogarnęła jego serce i kieszeń, była co najmniej przedwczesną.

Onegdaj Weronika, powróciwszy z posiedzenia jakiegoś Komitetu, a wchodził w skład co najmniej z tuzina, zawołała zaraz na samym wstępie.

— Jadę!... Dłużej już w Krakowie nie wytrzymam...

Niepotrzebnie napędziłaś mi strachu swoimi głupimi gadaninami o bezpośrednim niebezpieczeństwie, jakie nam może grozić w związku ze sprawą górnośląską. Informacje twoje nie sprawdziły się i bardzo się dziwię, że prokurator przepuścił coś podobnego. Staraj się zatem o pieniądze, gdyż chciałabym opuścić Kraków jeszcze w tym miesiącu, gdyż ci chyba wiadomo, iż od pierwszego lipca podnosi minister kolej taryfę osobową znów o pięćdziesiąt procent... Daję ci trzy dni do załatwienia tej sprawy, po ich upływie złożysz...

— Sprawozdanie... — dokończył kronikarz.

— O, nie!... Pieniądze! Do tego czasu masz się o nie postarać...

W takim razie muszę pójść w ślady ministra Steczkowskiego i zgłaszać swą dymisję ze stanowiska ministra domowych finansów!...

— Ja zaś — odparła na to z energią Weronika — idąc w ślady Witosa dymisji tej nie przyjmuję i polecam ci pełnienie dalsze obowiązków...

Na takie *dictum acerbum* trzeba było naszy połozyc po sobie, Weronika stanowi bowiem w domu „większość rządzącą“ (choć nie zawsze parlamentarną...).

Zaczął zatem kronikarz z innej beczki:

— Nie radziłbym wyjeżdżać z Krakowa... Jestem zdania, że tego roku pogoda nie dopisze. Chłodno już jest, a tylko czekać, jak się na dobre rozdeszczy. Co to zaś za przyjemność siedzieć cały dzień w dusznej izbie i nie móc nawet nosa wystawić na świeże powietrze. W ten sposób nie odrestaurujesz swego zdrowia.

— Także głupie gadanie, na jakie się tylko mężczyzna zdobyć może... Właśnie dlatego, że jest chłodno, można się na pewne spodziewać pogody. O tem wie nawet każda baba wiejska, a zdaje się nie wiedzieć pan kronikarz „*Nowości Ilustrowanych*“, który się powinien znać na wszystkim, więc i na meteorologii... Ponadto i Medard był anchy...

— To niczego nie dowodzi!... W te przepowiednie ja zupełnie nie wierzę. Ostatnią Barbarę mieliśmy przecież „po wodzie“, a Boże Narodzenie było „po błocie“, choć powinno było być „po lodzie“.

— Tłómacz sobie, jak ci się podoba, ja ci jednak zapowiadam, że stanowczo wyjeżdżam, a twoim obowiązkiem jest postarać się o to, aby było za co...

W ostateczności postanowił kronikarz spróbować jeszcze jednego środka, który wydawał mu się najpewniejszą deską ratunku. Zarzucił zatem wędkę, sądząc, że na nią rybka się schwyli.

— Tak... Ale kto wie, czy i ja nie będę musiał w tym czasie wyjechać z Krakowa i to może na czas dłuższy — rzekł robiąc bardzo dyplomatyczną minę, nieczem minister Skirmunt, gdy się swojego czasu ubierał w białe spodnie, ofiarowane mu swojego czasu przez rząd rosyjski jako nagrody za wzięcie udziału i robienie lojalnej miny podczas uroczystości odsłonięcia pomnika „naszej dobrodziejki“, Katarzyny II.

— A dokąd to, jeśli można wiedzieć? — zapytała, widocznie zaciekawiona.

— Do Warszawy...

— A tam po co?...

— Proponuję mi, moja droga, objęcie jednej z tek ministerialnych przy obecnym przesileniu...

— A to której?... O ile cię znam, wiem dobrze, iż do plastowania żadnej z nich się nie nadajesz. Już dawno zrezygnowałam z nadziei zostania panią ministrową... Gdy ja chciałam, ty nie chciałeś, teraz, gdy się tobie zachlewa, ja się nie zgadzam, gdyż miłsze jest mi moje zdrowie, niż twoje ministrowanie... I to może nie dłużej jak jakiś tydzień lub dwa, choć bowiem polityką się nie bawię, czuję to dobrze, że cały gabinet musi się w krótkim czasie rozlecieć... A który też z portfeli obiecano ci łaskawie?...

— Najprawdopodobniej Kultury i Sztuki...

— To sobie wybij z głowy... Zostaw to innym... Ten portfel wedle słów „Kuryerka“ nie ma stanowczo racji bytu. Do Warszawy nie pojedziesz, ministrem nie będziesz, przez czas mojej nieobecności masz siedzieć w Krakowie i pilnować mieszkania, aby nas kto nie okradł...

Zawłódła zatem i ta ostatnia nadzieja!...

Wieczorem odbyła się w głównej kwaterze kronikarskiej wielka narada wojenno-familijna, w której wzięła udział cała rodzina, nadto ciocia Klara z głosem doradczym, oraz pani Gładńska i panna Bajczarska, jako ekspertki. Ubie lato ubiegłego roku spędziły na świeżem powietrzu, którego tykanie nie zrobiło im jednak dobrze. Wróciły jeszcze chudsze niż wyjechały, wyschnęły bowiem z ciekawości, co się dzieje w Krakowie pod ich nieobecność i jak sobie dają bez nich radę ich znajomi, pozbawieni wiadomości z pierwszej ręki. W każdym razie mogły zabierać głos w sprawie wyjazdu letniego.

Na pierwszym punkcie programu obrad znalazła się kwestya dokąd wyjechać. Po dłuższej dyskusji postanowiono, że najodpowiedniejsze miejsce będzie Kosi Ogon, położony koło jednego z większych zdrojowisk. Będzie się miało swobodę, można będzie rano chodzić w podartych pantoflach i brudnym kaftaniku, po południu zaś, wystrelwszy się w jedwabie podążyć na deptak, z pod Koziego Ogona bowiem do zdrojowiska zaledwie dalesięć minut pieszej drogi, a Weronika oświadczyła, że nawet i na świeżem powietrzu musi widzieć ludzi inteligentnych, aby nie „schłopieć“ w zupełności.

Dring punkt, więcej już kronikarza obchodzący, to sprawa kredytów, potrzebnych na wyjazd i niezbędne doń przygotowania. Referowała panna Bajczarska. Ustalono, że na przygotowania potrzeba około dwadzieścia siedm tysięcy marek, koszt podróży wyniosą dwa tysiące, pięćdziesiąt tysięcy trzeba z góry złożyć za mieszkanie, a na opędzenie pierwszych wydatków, bodajby tylko do końca miesiąca, musi się rozporządzać dwudziestu tysiącami. *Samma sumarum* wystarczy na razie sto tysięcy. Kronikarzowi, gdy to usłyszał, zrobiło się tak przyjemnie, jak gdyby mu kto wbił sztydo po samą rękę i to w najboleśniejszą część ciała. Nie odzywał się przecież, gdyż nikt go o zdanie nie pytał. Dopiero, gdy Weronika zwróciła się doń ze słowami:

— Czy słyszałeś?...

— Słyszałem! — odpowiedział — ale skąd ja wezmę pieniądze?

— W tem już twoja głowa... Obowiązkiem pana domu jest starać się o fundusze na utrzymanie rodziny... Ja ci się żenić nie kazałam...

Rozpoczęła się zatem dla kronikarza bleganina po rozmaitych przyjaciółkach ludzkości i potrzebującej gotówki, proszenie o porękę znajomych, ostatecznie przecież udało mu się zebrać potrzebną sumę. Samego dziwilo, że ludzie mają tyle zaufania do kronikarskiej hipoteki, a tłómaczył to sobie notatką umieszczoną w jednej z poprzednich kronik, o tych dobrach na kłetych, które nie podlegają wywłaszczeniu, ani parcelacyi.

Po powrocie z każdej takiej wycieczki witała Weronika kronikarza pytaniem:

— A co z pieniędzmi?

— Dalaś mi trzy dni do rozporządzenia, bądź zatem konsekwentną i czekaj cierpliwie...

A gdy trzeciego dnia wieczorem przyniósł pełny worek banknotów i wysypał je na ołtarzu domowego Molocha, zgarnęła je najspokojniej do swej torby i rzekła:

— No, no... Nawet się nie spodziewałam, że się sprawisz tak gracko...

Następny tydzień zamienił dom w istne piekło. Przewrócono wszystko do góry nogami, wyjmowano, chowano znowu, prano, prasowano, ostatecznie po sześciu dniach ogólnego zamęta wszystko było do wyjazdu gotowe, Weronika z poclechami opuściła Kraków, oddając mieszkanie w opiekę małżonka, jego zaś w Boską i stróżki, nakazując jej, aby pilnie baczyła, o jakiej porze pan wraca do domu i czy nie przyjmuje podejrzanych odwiedzin. Z okna wagonu rzuciła jeszcze gdy pociąg był już w ruchu rozkaz:

— A nie zapomnij tam posprzątać w domu, bośmy wszystko zostawili rozrzucone!

Powróciwszy do domu, oddał się kronikarz rozmyślaniom nad swą dolą i przeklinał w duchu tę chwilę, gdy mu się zachlewało zakosztowaniem słodczy małżeńskiego pożytku. Aby Weronika mogła przez miesiąc żyć na świeżem powietrzu, musiał się dość nakłopotać i naprosić, przez rok cały, lub dłużej będzie zmuszony ponosić konsekwencje jej wyjazdu i być przygotowanym na każdym kroku na powitanie melodyjnym: „Nu... Co bedzi?...“

Będzie miał przynajmniej spokój w domu przez miesiąc i to nie zupełny, gdyż nocną porą karakony urządzają sobie „bleg okrężny“ po jego apartamentach, a myszy, niezadowolone pustkami w spiżarni, dobrały się już do jego ostatniej pary trzewików, tak, iż obecnie zmuszony jest stawiać je na stole, aby nie zostać „unieruchomionym“. Swojego czasu zjadły podobno myszy króla Popiela, wraz z butami, gorzej byłoby, gdyby kronikarz został na tym świecie, a zeszło z niego tylko jego obuwie.

W każdym razie urozmaica sobie jak może swą samotność i ogłosił w tym celu w krakowskiej „Fortunie“, organie kojarzenia małżeństw, anonś, iż „w celu wymiany myśli i wspólnych spacerów poszukuje znajomości młodej, przystojnej osoby pięć żeńskiej, która byłaby, podobnie jak on, zdeklarowaną przeciwniczką małżeństwa“.

Pozatem zajmuje się polityką daleko żywiej, niż to czynił dotychczas i żałuje mocno, że nie jest współpracownikiem żadnego pisma codziennego, całą bowiem złość, jaka rozsada jego wnętrza wyładowałby w porywach artykułów wstępnych. Lloyd George, Trocki, Petraszewicz i inni poznaliby dopiero, jak jest wobec nich usposobionym za to, iż dzięki im głównie stosunki są tego rodzaju, że na wysłanie żony na świeże powietrze na miesiąc trzeba „na razie“ wydać sto tysięcy marek.

A temu chyba nikt nie zaprzeczy, że właśnie ci panowie i im podobni są tego powodem. Lloyd George robi zamęt w polityce światowej, Petraszewicz waśni ze sobą narody, Trocki klasy społeczne. Dawniej, mając w kieszeni sto tysięcy marek, można było najspokojniej kupić w Krakowie nieobdoloną kamienicę, wyjechać z rodziną na całe wakacje nad morze i tam się bawić doskonale. Kapanie się w morzu naraża wprawdzie na połknięcie przez rekina, ale i to ma swoje dobre strony, dostanie się bowiem do jego żołądka pozwala raz na zawsze zapomnieć o doczesnych zmartwieniach i kłopotach. Natomiast nlokowanie się w kieszeni jakiegoś pana Hirschprunga lub jemu podobnego, co jest koniecznym następstwem wystąpienia Weroniki na świeże powietrze, jest mniej przyjemne, przypominając się stale co miesiąc koło pierwszego.

Kronikarz nie korzysta zatem w należyty sposób z wyjazdu swej małżonki na willegiaturę. Jej nieobecność powinna się przyczynić do odrestaurowania i jego zdrowia, niestety, ani myśli, aby można czas ten spędzić, jak się należy. Pierwszy już za pasem, rodzinie trzeba posłać nowy transport monety, a równocześnie rozpocząć spłatę obecnie zaciągniętych zobowiązań.

Oddaje się zatem rozmyślaniom, których tematem jest: 1) Czy małżeństwo jest w samej rzeczy rajem i przyczynia się do przedłużenia życia; 2) Czy doczekamy się powrotu normalnych stosunków. Na pierwsze pytanie odpowiedziałby, że małżeństwo byłoby może rajem, gdyby nie „anioly“, które pobytu w nim bynajmniej nie nprzyjemniają. I na przedłużenie życia też nie wpływa, jak stwierdza to własnymi ustami sto dwadzieściolatnia „panienka“, o której niedawno czytaliśmy w „Kuryerze“, utrzymująca, że dojsie do tak pięknego wieku zawdzięcza tylko temu, iż za mąż nie wyzia. Z odpowiedzi na drugie pytanie, co do poprawy stosunków, stanowczo już zrezygnował.